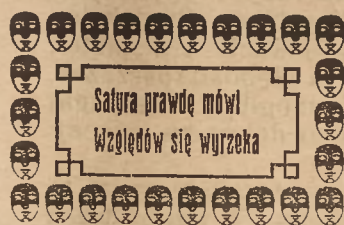
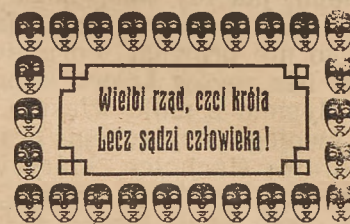


Opole, 15 stycznia 1914.



ZABA



Bezpłatny dodatek humorystyczny do „Nowin“, wychodzi co drugi tydzień.

Rozrywka jest najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości.

Rajze i godki Gustlika Kocyndra.



Muszę was cytelnicy z nowym rokiem nauezać o różnych rzeczach, co się tyczą chopa. Myśle, że panowie mieszcianie, ślacheccie i księżdzogomości, co tes „Zaba“ cytają, nie będą się gniwać i chętnie moje bajdury cytąć bo sie jem tes na co przydać może a zresztą ludzie uconi, to som łakomi i na prosty rozum chopski, a jesce na taki jak jo Gustlik Kocynder mom. Zresztom jo przecie nie jest piyrsy lepszy głupi chop, ale trochę ze szlachty pochodzę, bo mój ojciec służył u hrabiego Kisinosa do cugowych wołów; A dwa roki będzie temu może, tom sie ze samem Nikitą ścisłol i całował za panie brat, ino ze mi sie to śniło, ale to nie wielko różnica. heba ino telo ze na jawie bym sie na to nie odwozył!

A teros kiedym wam wyjaśnił, że jo nie jest prostego konia źrebie, zacnę godać prosto z mostu, poczawszy od samego starego testamentu. W starem testamencie stoi, że Noe miał trzech synów (o dziewczkach, to nie pise wiela ich miał) na i ze tym synom było na imię: Sem, Jafet i Ham. Jak se ros Noe wi na mozelskiego popił, tak się pono ten Ham

wyśmiwoł z niego, ze mo słabą gowę i ze mu ciało odkryte było widać. — Jafet i Sem zaś sie nie wyśmiewali i Noego, ojca przykryli. Jak sie Noe wykrzyżwił, tak ci dwaj oskarżyli ojcu, ze sie Ham z niego wyśmiewoł. Noe sie zgniwoł bardzo na Hama, skrajoł mu za ciasne portki, i skłan go jak pastyrza tego syna Hama, chocios jus duży parobek był z niego. Ną i widzicie ślacheccie zdowien dawna godają, ze my chopy pochodzimy od tego Hama! Jes to jako racya! Przecie nołs chopów jest wijncy jak szlachecców. A naturalnie, ze przecie Sam i Jafet mieli wijncy potomstwa, jak som jeden Ham! To tes to nie jest prawda, co godają szlacheccie, ze my chopy pochodzimy od Hama, bo my kiedy nołs jes wijncy, pochodzimy od Jafeta i Sema, od tych dwóch synów Noego a ślacheccie pochodzą od tego jednego Hama, co przecie jasne jak to, ze dwa i dwa jes styry. Tego ze ślacheccie pochodzą od Hama, to mi nie zaprzycy ani som Hendryk Sienkiewicz, co ślacheckie historye pise, ani osiem cetnorów ksiązek Krasickiego ślacheckich historyi. Hop a ślacheccie to wyrzecie mi moi chopi jest jedno i to samo, bo wszyscy pochodzimy od jednego Hadama rodzica pierworodnego i jego baby Jewy, co trzysta lot siedziol śniom na wiarę, bo księdzów na świecie nie było i słubów nikt nie dawoł. Teraz kiedy chopy wiecie, coście som, ze to samo co i ślacheccy, to se wiedzcie jak mocie sanować swój chopski stan, przecie sami widzicie chopy, ze teros to ślacheckie „Jaśnie“ coraz to bardziej gaśnie. My chopy telo wortomy co i ślacheccy, a casem i wijncy nawet, ino nom brakuje tego, ze nie umiemy żyć ślachtetnie, honorowo, uściwie i mądrze po ślachecku.

A jak by wom jaki ślacheccie, panek, nauczyciel, sędzia, hadukat, urzędnik pedzioł nie suśnie hamie, to mu dejcie taką nauczkę: tyś ham, bo ja ślacheccie chop, jo ślachtetnie żyję. Takie ślacheccy wyjezdżają do kapieli, sampany juchy piją, bazanty żrąją i różne kawary i ananasy, a chopom robotnikom prawią morały, grają na basie, a chop, robotnik tańcy, jak gupi podług ich taktu. To nie wasi opiekunowie, dobrodzieje, za jakich sie udają i za jakich ich mocie, to my chopy są ich dobro-

dziejami, a oni naszymi skodnikami, łupiskórami i, żeby nie oni, tes by my byli chopami lepsemi, jak my sam, bo my by swoim chopskim rozumem dali zaśli, jak ich politykom. Jak to nie prawda, co godom, to niech mie staro bez rogów krowa kopnie! Niech sie udowie dymem z moje własnej fajki, co ją bardzi jak swojego stryjecnego brata lubię. — Są tez honorowe ślachcice, których my po nasemu nazywamy „pańskie dziady,” bo chociaż u nich bida pisy ze az strach, to muszą udawać wielkich panów. Takie pańskie dziady nie kcieli by nie robić, jeno żeby im piecone gołąbki, same słatywały do gąbki! Ale co nollepsego! One pańskie dziady wdyci mają kogoś „lepsego” we familije. Znolech jednego takiego pańskiego dziada, to ino wdyci mi padół: „Mój tatuś jest prezesem, mamusia panią prezesową, ciocia jenerałową, wujek milionerem w Ameryce, stryjaszek ma ogromy dom towarowy w wielkim mieście Mixtacie, dziaduś miał dyplom honorowy z cechu, braciszek jest wojażerem, meble mamy w Berlinie” — i jeszcze tela innych zeczy mi prawił i się chwalił, co juz nie pamiętom. Pramanty! Kiej mo takich bogatych przocieli, temu to w „cichych bu tach” chodzi! Jeno ten braciszek wojażer, to napewno jes przy cugowych koniach we dworze! Ale smolić ta na pańskich dziadów, jak sie okazijo trefi, to wiency o nich napise. —

Ujek z Chronstow znou mi pise:

Kochany Gustlicku! Ostatnią sobotę wziół zech „Zabę” do ręki i bardzo mi sie to wsycko podobało i zech dostał chęci pare słów do ciebie napisać. Nolprzód muse ci się zapytać, jak to jes z onemi dwoma milionami, bo mnie by sie samemu co przydało, boś to napocón a nie dokońcoł. My sie cytelnicy radowali, ze nam tez co na Dzieciatko przysziesz, ale tyś to inacy zrobił, boś ty nie darmo Gustlik we wsyckiem hytry, tyś wzion od nas po dwa ceskie wiency, i tak mozno te dwa miliony będą, choc nie talarków ani marków, ale fenygów!

Przeca Ujku jo! temu nie winien, ze te dwa ceskie „Nowiny” drogse! Tela mi padół pan redachtor, ze jesce wiency jak za tela są terazki „Nowiny” rubsze, a tez i durkarze drozsi, papiór drozsy, sewcy drozsi i wsyckie inne rzeczy drozse. A kwuli onego wesela i to drugie późni ogłose. Onej dębowej maści na te pyskate baby w Chronstach moze ujek dostać, jeno musi wozem zajechać. Bądź zdrów Ujku!

Pisał też Błażek Krzakała z Pyskowic, cobych mu doradził co na gardło, bo już był u wsyckich doktorów i w rozmaitych haptkach, ale nic, nawet tysiąckrotne ziele z centralnej drogeryi za 2 mk. (do tego porada za darmo), ani podróż do mądrej baby w Lubecku nic nie pomogły. No, Błażku, jo tam nie jest mądrzejszy jak dochtorzy, tyrace i mądre baby, bo jo ma jeno recepta, co nic nie kosztuje, ale za to napewno pomoże, boch go sóm wypróbował. Otóż uwiąż kasek spyрки wan-

dzonej na mocnym szpagacie a potem połknij, a jak połkniesz, wyciąg ij szpagatem i znou połknij. Powtórz to kilka razy i wypucujesz se gardło jak lufę od karabina. Srodek ten mozna w nagłych przypadkach i w piątek tek użyć, jeno trzeba nie za głęboko spuszczać, bo żołądek przyciągoł i mógłby sie szpagat zerwać. Jest on też bardzo dobry na zwyczajną chrypkę.

Doś tego na dzisiej, bo tera mięsopust, to też chcę mieć swoje wygody, a trzaby teraz kozdy tydzień pisać. Do widzenia!

Gustlik Kocynder.



Bal w miasteczku.

Pan Kalasanty był człowiekiem kłótlwym i rubasznym toteż każdy schodził mu z drogi. Mieszkał z żoną i trzema córkami w samotnej posiadłości, oddalonej o pół godziny drogi od wsi Najałówki.

Pani Kalasantowa zwiędia i zestarzała się w pobielanym dworku pod słomianą strzechą, słuchając wiecznego gderania małżonka, a jedynem jej wytechnieniem było, kiedy wyjechał czasem choć na krótko.

Gdy córki podrosły nieco, oddano je do pobliskiego klasztoru na pensję; potem wróciły do domu drżąc razem z matką z obawy przed wspólnym ciemiężycielem.

Lata mijały i trzy dziewczęta zaczęły się przekształcać z powodu samotności i despotyzmu ojca w dziwaczne stare panny, bo mało kto zaglądał do niegościnnego domu, a młodzieź mianowicie uciekała od niego jak od ognia.

— Jakże gburowaci i niewykształceni są ci wieśniacy, — mawiały panny, ale głównie dlatego, że nikt z młodzieńców nie starał się o ich względy.

— Nigdy nie wyjdą za mąż, nigdy, — wzdychała biedna matka.

— Mniejsza o to — mruknął małżonek. Będą miały z czego żyć do końca, bo wszakże na każdą przypadnie dwieście morgów nieodłużonej roli, pocóż więc mają brać sobie na kark jakiego lekomyślnego utracyusza.

Pan Kalasanty nie był bynajmniej wzorem męża, jednakże utyskiwał zawsze na złych mężów i niedobre stadła.

W miasteczku będzie bal, — ośmieliła się odezwać żona.

— Bal? I cóż z tego?

— Czyżby te biedne dziewczęta nie mogły także pojechać?

Pan Kalasanty był tego dnia w niezwykle dobrym humorze, więc huknął: — No, do licha, niech jadą!

Trzy starzejące się panny rozpromieniły się na tę nowinę.

— Bal będzie w miasteczku, pojedziemy na bal!

Powyciągano też zaraz z szaf staroświeckie suknie, wstążki, wachlarze i kwiaty: dwie krawcowe i kulawy pocztarek, co niegdyś był krawcem, czyli dnie całe, sposobiąc stroje dla panien na bal do miasteczka.

Podezas tych przygotowań trzy córki ożywiły się znacznie i nawet wypiękniały, a gdy ojciec wycedł w pole, odbywały próby tańca w wielkiej sieni starego dworku. Na przemian tańczyły walc, polkę, galopade i przypominały sobie figury różnych innych tańców. Niegdyś tańczyły go w klasztorze.

Teraz będzie bal w miasteczku.

Nakonec nadszedł dzień upragniony; trzy stare panny stały się naraz wesołymi dziewczętami. Całą noc nie mogły zaśnąć z wielkiej radości i wstały razem ze świtem, aby przymierzać suknie i stroje balowe, bo dzisiaj będzie bal w miasteczku.

Uciecha córek wywarła nawet wrażenie na posępnym zwykle i marudnym ojcu, który ze swej strony robił także przygotowania, aby uświetnić zabawę.

Przedpotopową karetę umieszczono na saniach, wybrano dwie pary najteższych koni, a powozić miał stary Jan, który był wprawdzie głuchy, lecz wzrok dobry i rękę pewną.

Wysłano też w przeddzień posłańca do miasteczka, aby zamówić dla pań wygodny pokój w hotelu.

Dzień był mroźny i pod wieczór powstał zimny wiatr północny, na domiar śnieg zaczął padać, tak, że światła widzieć nie było można, lecz nie zważając na to matka i trzy panny, otulone w futra i pledy, stały już, czekając na ganku.

Głuchy Jan zajechał w cztery ogniste siwosze; wicher ciskał mu w twarz tumany śniegu i konie, rżąc, uderzały niecierpliwie kopytami. Panie wyszły przed ganek, otoczone przyglądającą im się z podziwem służbą, sługa otworzył karete, aby umieścić w niej koce i derki, wtem wiatr trzasnął drzwiczkami, a Jan zadowolony, że nareszcie może już jechać, huknął z bicia i konie popędziły szlonym galopem przez podwórze na drogę wiodącą do miasteczka.

Bo w miasteczku bal dziś będzie!

Pol, wioski i lasy migały na przemian wśród śnieżycy, aż nareszcie po dwóch godzinach jazdy woźnica ujrzał z dala oświecone okna w domach małego miasta.

Ciężka staroświecka karetka potoczyła się teraz po chropowatym bruku ulic miasteczka, które dziś niezwykle było ożywione i zatrzymała się wkońcu przed bramą domu zajezdnego, gdzie się odbywał bal. Zaraz też gromadka wyfrakowanych tańcerzy wysypała się przed ganek i jeden z gospodarzy, otworzywszy usłudźnie drzwiczki karety, zajrzał do wnętrza, mówiąc grzecznie: — Panie raczą..

Lecz nikt nie odpowiedział — w karecie grobową cisza! Zapalono światło.. Ogólne zdumienie!... Karetka była pusta, leżały tylko derki i tłomoczki, a pań ani śladu.

— Czy zginęły w drodze?...

Stary Jan spoglądał przez ramie, mrugając komiecznie oczami i drapiąc się za uchem.

— Tak się zdaje!

Panowie, śmiejąc się, zamknęli drzwiczki powozu, a Jan trzasnąwszy z bicia odjechał znów z powrotem tak, jak był przyjechał.

— Zapewne zostawiłem je na ganku — rozmyślał po drodze.

Matka i córki dawno już zdjęły z płacem suknie balowe, pan Kalasanty obiecywał gości poćmac staremu woźnicy, ale na cóżby się to zdało...

Właściwie nie była to jego wina. Gdy wicher trzasnął drzwiczkami, przekonany był święcie, że panie już wsiadły, a łoskot miał znaczyć: jedź! Nie też dziwnego, że przy swej głuchocie nie słyszał rozpaczliwych nawoływań, aby się zatrzymał i wrócił.

Gdy karetka stanęła w domu i konie wprowadzone do stajni, skończył się też już bal w miasteczku.



Fortel na złą żonę.

Miał jeden zły a swarliwą żonę, która bez przestanku go jak psa łajała, a on im ją więcej za łajanie bił, tem więcej ona uporniejsza była. Widząc, że mało na męzowe słowa dbała, z inszej beczki począł. Ile go kroć ją łajać, on na to nie zważał, ale wziął fujarkę i choć na niej grać nie umiał, począł dmuchać, a im więcej ona łajała, tem przeraźliwiej on dmuchał na fujarcę. Naostatek żona z wielkiej złości poczęła tańczyć i wyrwała mu z rąk fujarkę. Lecz on jej odebrał fujarkę i począł dalej dmuchać, wówczas żona uciekła do sąsiadów. Po kilku takich scenach małżeńskich, żona się ustatkowała i poczęła prosić męża, aby zaprzestał jej grać na fujarcę.



Spadek.

A. — Sekretarz Gryzmołński, który umarł w zeszłym tygodniu, zostawił wszystko, co posiadał, miejskiemu zakładowi sierót.

B. — To ładnie z jego strony. A ileż zostawił?

A. — Siedmioro dzieci.



Litościwe serce.

Dorózkarz na ulicy w okropny sposób znęca się nad koniem.

Przechodzień: — Bójcie się Boga! Jak można tak nieme stworzenie?... Wy byście pewno i dla człowieka nie mieli więcej serca i gotowibyście go zamordować.

Dorózkarz: — E, proszę pana, człowieka tobym tak nie bił. Teraz prawie każdy z rewolwerem chodzi.

W koszarach.

Feldwebel: — Co, znowu zgłaszacie się jako chory? I co wam?

Rekrut: — Choruję na serce!

Feldwebel: — Głupstwo! W służbie serce niepotrzebne.

Dobry syn.

Chirurg: — Straszna rana. Widać mózg.

Chory: — Proszę, napiście o tem jak najprędzej do ojca. Zawsze twierdził, że ja nie mam mózgu.

Między andrusami.



— Antek! A jak kazałbyś się pochować po śmierci, gdybyś miał grube hopy? Może kazał byś się spalić?

— Gdzież tam! Kazałbym się zalać spirytusem i zostawiłbym osobny fundusz, aby z procentów mogli go co miesiąc odmieniac!